

JÓZEF LASOŃ.

CZERWONE RABATY...

(Z cyklu: LEGIONY).

Ciężka postać ułana. nagłym podrygiem rozkpryszonego konia wstrząsnęta, wyleciała z siodła na żółty piach drogi, ciągnącej się przez polankę do krańca lasu, skąd zaczynał się szereg linii obronnych, grznie uzbrojonych zasiek, rowów skrytych zielenią świerków i sosen.

— Psiakrew, Kaśka! — zaklął ułan, podnosząc się z ziemi, podczas gdy szkapa, nazwana Kaśką, najspokojniej zabrała się do wyskubywania kępek trawy, miejscami pośród piasku wyrastających.

Uchwycił konia za uzdę, wlokącą się po piasku, poprawił skrzywione upadkiem siodło, karabin przerzucił przez ramię; wreszcie otrzepawszy starannie zakurzony mundur, wskoczył na konia.

— Nuże ścierwo! — mruknął pod nosem, pędząc konia do szybszego biegu. Ale szkapsko, lipcowem słońcem zgrzane, żółtym krokiem stąpało, rozglądając się za każdą wystającą kępą trawy, aby w stosownej chwili pochylić głowę do uchwycenia pożywienia. Ułan przeczuł manewr konia, tem bardziej, że właśnie dzięki takiemu przypadkowi wyleciał z siodła, ściągnął lejce i silnie obwinął nimi lewą rękę.

Polanka kilkukilometrowa zryta była pociskami dział; powyrywane doły nadawały powierzchni wygląd ospowaty, czasami podkopa konia brzękła o rozbity czerep granatu lub garnek szrapnela.

Skądś z za boru szła przysłuchana palba karabinów, głuche dudnienie armat, mieszając się z szumem lasu, z tyrkotem śruby aeroplanu, krążącego ponad linią.

— Będzie gorąco — szepnął ułan, ocierając spoczone czoło i rozglądając się po horyzoncie. Twarz, wychudła od trudu, pokrzywiła się od palących promieni słonecznych, pokryła kurzem drogi, nabrała koloru oliwkowego; oczy niebieskie świeciły nadmiernym przemęczeniem. Obtarli zabrudzonymi palcami ciemny włos, spoczone czoło, podkreślił opadłe ku brodzie wąsiska, wreszcie półgłosem począł przyspiwywać:

Dadzą mi konika cisawego
I ostrą szabelkę do boku mego,

Dotarł do lasu, skrzył drogą leśną na lewo i zapuścił się w głąb, schylając głowę pod pionowo rozrośniętymi konarami drzew, które gałązkami muskać go zaczęły po twarzy.

Zmęczona szkapa stanęła przed bagniskiem, usiłując zanurzyć mordę w zimnej, mulistej wodzie.

— Zmęczonaś, pić chcesz? — pieszczotliwie zwrócił się ułan do szkiapy — Odpoczniemy.

Zeskoczył z konia, napił, wreszcie przywiązał do ściętego pniaka brzozy, poczem rozciągnął się na zielonej murawie leśnej, podkładając ręce pod głowę.

— Cóż tam w domu? — myśl jego poczęła błądzić — Matka zapłakana, siostry po kątach posmutniałe siedzą. A niechta — westchnął z ulgą — baby na to, by płakały — a chłopci, by się bili. Chcieli, bym w domu za przypiekiem siedział, gospodarstwa patrzył, siostry swatał, a o wojence ani rusz. A kiej tu nie iść, kiedy te rabaty jak maki w polu wabia, kiej serce się do morderu i szabelki śmieje; a dyć trzeba też i Ojczyznę bronić! A co się babska na tem rozumia! Wiedzą, co to Polska, co to ojczyzna, co to wojna, abo ułan — a juści, że nie!

Usiłował skupić myśl, zastanowić się głęboko nad tą Ojczyzną, która go rabatami czerwonymi za serce przyciągała, dom kazała rzucić i w ułańską kompanię wpaść. Dużo się nasłyszał różnych głosów, zdań, wytworzył się w umyśle jego chaos, który przygniatał mu duszę.

— Będziemy się bić, to Polska będzie! — tyle rozumie — szepnął do siebie — ale jak będzie?

Nagle zrodził się w duszy jego niezmierny żal; poczuł cały ciężar obowiązków, które na siebie wziął z chwilą, gdy siwiuteńki mundur wdział, szabelkę przypasał, przysięgł na śmierć i życie. Wydawało mu się, że ta Ojczyzna, za którą się szedł bić, daleką jest jeszcze, za jakimś morzem przegromnem niedoli i męki, które wprawdzie trzeba przejść. Dojrzał przegromną Ideę, która swój blask poczynęła w czerwonych rabatach, a tonęła w mglistych zarysach niepewności Jutra.

— A choćby dla rabatów! — mruknął — To i cóż! Czy się nie godzi! Czy nie warto się bić?

— No, Kaśka, jazda w drogę! — krzyknął do konia, objadającego liście młodych brzoź, długim szeregiem ciągnących się wzdłuż drogi leśnej.

Wypoczęta szkapa ruszyła dobrym kłusem, przedzierając się przez gąszcz lasu.

Wreszcie wydostał się z lasu, skierował konia na drogę biegnącą przez bagniska, na którym położone były ścięte pniaki drzew, na umocnionych palikach tworząc rodzaj pomostu nad trzęsawiskiem. Pomost taki, wzniesiony ponad bagniskiem, pozwalał na przetransportowanie ciężkich furgonów, artylerii, dlatego spotykać można było kilometrowe drogi z pniaków robione, zwane „drogami Legionów“.

Wysunęła się przed nim wioszczyna, szereg okopconych kominów, zrujnowanych domostw, przed którą na wzgórzu znajdował się cmentarzyk wołyński, z wysokimi krzyżami na grobach; krzyże obwieszone chustami św. Weroniki kołysały się wiatrem, jak gdyby chorągwie.

Ułan wpatrzył się w drogę, w cmentarzyk, wytężył wzrok. Dostrzegł siwe mundury żołnierskie, migał się wśród mogił, białą komżę kapelana, odpowiadającego modlitwy nad mogiłą.

— Kogoś grzebią — uprzytomnił sobie — ciekawym kogo?

Zeskoczył z konia, podszedł do cmentarza, szukając wśród zebranych żołnierzy znajomych, do których jechał, dostawszy od komendanta przepustkę. Pisał doń kolega, piechur karpacki, że ma dla niego wielką nowinę, aby natychmiast przybył do rezerwy, gdzie batalion ów stał.

— Z któregoście batalionu? — zaczął obok stojącego żołnierza.

— Z drugiego!

Kapelan, pokropiwszy trumnę ze zwłokami poległego żołnierza, szorstkim głosem, urywanym przez wiatr, jął prawić o cnotach żołnierza, o świeżej mogile wyrosłej na kresach Rzeczypospolitej, zlaných obficie krwią kilku pokoleń narodu, zrywającego się do wolności.

— A Skobyłkę znaliście? — spytał szeptem żołnierza, wsłuchującego się w wywody kaznodziejskie kapelana.

— Skobyłkę? — odparł żołnierz zapytany, żdziwione oczy szeroko otwierając.

— A Skobyłkę znaliście? — powtórzył ułan.

— A znałem, przecież tu jest.

— Gdzie? — rozglądając się wokoło ułan zapytał.

— A tu! — odrzekł żołnierz, wskazując na leżącą przed wykopanym grobem trumnę — Przecież to jego pogrzeb dzisiaj.

— Jezu! Brat!

— To wasz brat? — szepnął ze współczuciem żołnierz, patrząc na zmienioną twarz ułana, pokurczoną od bólu.

Spuszczono trumnę do grobu, kapelan ujął garść ziemi i rzucił nią na trumnę, zaśpiewawszy „Requiescat in pace“. Tejże chwili zagrzmięła salwa plutonu honorowego, jako ostatnie pożegnanie kolegi, wiernego towarzysza broni.

Kapelan powoli rozbierać się począł, żołnierze rozchodzić się zaczęli, podczas gdy pozostali grabarze szybko zasypywali grób.

— Hujże ułan! — zwrócił się jeden z grzebiących do niego — Cóż tak rozpaczliwie na nas patrzycie? Czyby i wam trzeba było miejsca?

Żart spelił na niczem, dowcipniś skwitował z dalszego prowadzenia rozmowy. Ułan nieruchomo stanął nad mogiłą, wypuściwszy z rąk lejce, a koń obdzierając z trawy porośnięte groby, samopas włóczyć się począł po cmentarzu.

— Gdzie idziecie, obywatelu? — zwrócił się z zapytaniem do ułana żołnierz, prowadzący poprzecznie z nim rozmowę.

— Do drugiego szedłem batalionu!

— No to do nas — przerwał żołnierz.

— Kolega mi pisał, żebym przyszedł, gdyż ma dla mnie nadzwyczajną nowinę. Nie wiedziałem, że brat w Legionie, ot i natrafiłem na pogrzeb.

— Co robicie, trudno! — zauważył żołnierz.

— Wiem, że trudno, przeto nie rozpaczam. Ale zawsze to bolesne. Gdybym był chwilę wcześniej przybył, zobaczyłbym go choć przed pogrzebem.

— Idziecie do nas? — zapytał Legionista.

— Pewnie. Dowiem się od kolegów szczegółów, może pamiątki jakie po nim zostały, odeślę do domu. Będą z nich relikwie dla pokolenia, żywe świadectwo boleści i smutku dla rodziny.

Ujął w rękę garść piasku z mogiły brata, rozpiął czerwone rabaty, wyciągając z za koszuli woreczek płócienny, jaki dostają żołnierze na tytoń lub pieniądze, a który uwiązany był na szyi, jak szkaplerz lub medalion. Wypróżnił zawartość, drobne oszczędności żołnierskie, zoldowe grosze, wysypując wzamian garstkę ziemi.

— No chodźmy! — szepnął piechur, gdy grzebiący żołnierze oddalać się już poczęli.

Swisnął na konia, który na głos swojego pana natychmiast przybył, rżąc radośnie. Oczy konia wpatrzyły się w twarz ułana, jakby wyczuć chciały smutek i boleść rysującą się na twarzy.

— Kaśka się zwie? — zapytał piechur.

— Kaśka! Dobry koń. Z domu go zabrałem na wojnę. Przywiązany do mnie, jak rzadko się zdarza.

Ruszyli z cmentarza w stronę wioski zrujnowanej i zbombardowanej ogniem artylerii. Opałone kominy sterczały wzdłuż drogi; dookoła nich piętrzyły się stosy gruzów, osmolone dymem belki, na pół zwęglone. Był to cmentarzysko wioski, niedawno jeszcze kwitnącej życiem. Na niektórych chatkach, właściwie szczątkach domostw, ocalałe gniazda bocianów roily się od ptaków; pod wieczorną chwilą, jaka właśnie zapadła, przeciągły klekot boćków ożywił wieś. Na drodze powyrywane doły przez pociski armatnie zasypywali żołnierze, równając ziemię i umacniali szosę pniakami ściętych sosen.

— To Wołczek? — zapytał ułan.

— Tak! Wchodzimy w teren ustawicznego bombardowania. — Codziennie Moskale obsypują wieś kilkudziesięcioma pociskami. Również droga ciągnąca się przez polankę do rezerwy, artylerii, a następnie do pierwszej linii obronnej nie jest wolną od tych przyjemności.

Ułan szedł pod wrażeniem przeogromnego bólu, nie zwracał uwagi na słowa towarzysza broni. — Opanował go smutek, uprzytomnić się starał postać brata, który już tam pod mogiłą spoczął.

Nagle zawyły gdzieś glucho armaty, w powietrzu dał się słyszeć świst lecących pocisków, prujących powietrze, nad nimi wyrosła biała chmura dymu, odłamki szrapneli świstać poczęły w przestrzeni.

— Oho! — zwrócił uwagę piechur — Zaczyna się zwyczajna porcja codzienna. Skrećmy na lewo, pod las, tamtędy droga najbezpieczniejsza. Odcieśli nam szelmy drogę, a co nie mówilem?

Skreśli w las, piechur począł opowiadać o ostatnich chwilach pogrzebanego, ułan rozgadał się na dobre.

— Stał na wedecie! — objaśniał piechur — Kula trafiła go w głowę. Bo, jak wam wiadomo, Moskale usadowili na sosnach strzelców, którzy celnymi strzałami ranią nam ludzi lub zabijają.

— Długo żył? — przerwał ułan — Był przytomny?

— Kiedy padł, krzyknął: „Aleś trafił draniu! Niech żyje Polska!“ Wziął go sanitaryusz do lazaretu, nie odzyskał już przytomności i do rana skonał. Kolega was zawiadomił, pewnie zaraz po wypadku, przypuszczając, że się da utrzymać go przy życiu!

Polanka kłębiła się od dymów z wybuchających granatów, słupy piasku z dymem uderzały do góry, jak gdyby wodotryski źródlane. Salwami ryczały baterie obustronnie, zrywając układające się do snu ptactwo.

— Pali się znów Wołczek od granatu! — zauważył piechur, oglądając się poza siebie — O, widzicie ten olbrzymi słup dymu, puscili Moskale gazy trujące.

— Daleko do was? — spytał ułan.

— Kawatek! Jak to w Królestwie chłopcy mówią: kilometr i ho, ho! Przejdzie się kilometr, później się przechodzi to ho, ho, które nieraz i sześciokrotnie dłuższym jest od samego kilometra.

— A więc wiele do linii jeszcze?

— Ano, będzie trzy kilometry, a jeden tylko do rezerwy.

— Bez ho, ho jednakże?

— Pewnie — zaśmiał się piechur.

Pośród lasu wylaniać się poczęły wioski podziemne, z szeregu ziemianek złożone. Ustawione rzędem wozy, dymiące się kuchnie polowe, pasące się bydło i konie — wszystko to świadczyło, że wchodzi w stanowisko trenów i rezerw drugiej brygady.

Ułan pytał o to i owo, słuchając uważnie słów piechura; wreszcie przeszli długi szereg wozów, piechur stanął przed jedną z ziemianek, mówiąc:

— Chodźcie do nas, zapewne kolega, którego szukacie, będzie w ziemiance.

— Prześpij noc u was! — odparł ułan — mam przepustkę do jutra, rano wyjadę do szwadronu.

Zgięli się obaj, pochyliłi głowy i wsunęli w wąski otwór wchodowy, prowadzący do wnętrza ziemianki.